

84. Cienie z Honoratki i ślady na Mazurach

„Nie każda historia ma początek i koniec jak fotografia naświetlona dwa razy.”
Najgorsze są te, które nie chcą się zamknąć — tylko zmieniają adres.

O świcie emocje jeszcze drżały w nas jak struny po cichym akordzie. W Jerzwałdzie wszystko było jeszcze świeże: burza, koncert, rozedrgany ogród „Pod Katalpą”, rozmowy ciągnięte do późna, jakby noc nie chciała oddać nas ciszy. A potem przyszło coś innego — w postaci papieru. Zagięty róg gazety i cudze wspomnienie, które nagle zaczęło pracować w nas jak obcy mechanizm.

Arletta, zatrzymana na kilka dni u Renaty, stanęła w progu z numerem „Wyborczej” sprzed lat, sfatygowanym, pogniecionym, jakby wyjętym z walizki, która przejechała pół życia.

— Mam coś sensacyjnego — oznajmiła, zanim zdążyłem dopić herbatę.

— Znowu etiuda o duchach? — spytałem odruchowo.

— Nie tym razem.

Rozłożyła gazetę na stole, wygładziła kanty z taką ostrożnością, jakby rozprostowywała list, który nie powinien już istnieć. Artykuł miał tytuł „Goście Honoratki”. Palec Arletty zatrzymał się na jednym zdaniu, które — choć napisane mimochodem i trochę bezwstydnie — zadziało jak zapalnik:

„Inna studentka socjologii, Ewa Ostrowska, później żona Wiesława Jażdżyńskiego, a następnie Nienackiego, autorka świetnych książek dla młodych ludzi, słynna z inteligencji, ciętego języka i wspaniałego biustu...”

Przeczytałem to jeszcze raz. I jeszcze. W takich tekstach człowiek zwykle przeskakuje po zdaniach, jak po kałużach. Ale tu nie dało się przeskoczyć. Bo kiedy raz padło słowo „żona”, historia przestała być plotką z kawiarni. Stała się pytaniem, które nie chce się zamknąć.

— Podobno była pierwszą żoną Nienackiego — dodała Arletta ciszej, jakby sama nie ufała temu, co mówi. — Nie jest to potwierdzone, ale wykluczyć nie można.

A jednak „wykluczyć” było tu słowem niebezpiecznym. Bo jeśli ktoś raz wpisał w druk „a następnie Nienackiego”, musiał się na czymś oprzeć albo musiał chcieć, żeby ten trop żył własnym życiem. Taki błąd — jeżeli to błąd — nie jest błędem przypadkowym. To błąd z charakterem.

Arletta wyjęła telefon.

— Jest jeszcze film: *Czarodzieje Honoratki*. Dokument o tym miejscu. Mnóstwo twarzy środowiska z tamtych lat. Może kogoś pan rozpozna.

Usiedliśmy i zaczęliśmy oglądać klatka po klatce. Jak w śledztwie, w którym każda twarz jest albo dowodem, albo mylącym znakiem. Polański, Wajda, Olbrychski... i kobieta z ciemnymi włosami, jakby wycięta z innej epoki, z inną gęstością spojrzenia. Przez sekundę wyglądała, jakby wiedziała, że ktoś kiedyś będzie ją stopował i przewijał, szukając w jej rysach wytłumaczenia.

— To może być Ostrowska — szepnęła Arletta. — Ale potrzebujemy czegoś więcej niż przecucia.

Zacząłem robić to, co zawsze robię, gdy brakuje mi twardych śladów: szukać chłodnych notek, dat, faktów, małych gwoździ, na których można zawiesić nawet najlżejszą hipotezę.

W biogramach natrafiłem na zapis bez emocji:

„Ewa Ostrowska (1938–2012) — pisarka i dziennikarka, autorka kilkadziesiąt książek... W 1957 wyszła za mąż za Sylwestra Gogolewskiego (rozwód 1958). W 1964 poślubiła Wacława Jażdżyńskiego (rozwód 1971).”

— To może być ona — mruknąłem. — Ale o Nienackim ani słowa.
— Zresztą Nienacki poślubił Helenę Dębską około 1952 roku — wtrąciła Marta, która miała tę rzadką zdolność: potrafiła jednym zdaniem sprowadzić zjawę do porządku. — Wtedy Ostrowska miała trzynaście, czternaście lat. Pierwszą żoną nie mogła być.
— Drugą też nie — dodałem. — Z Heleną był w separacji, ale nigdy się nie rozwiódł.

Wtedy powinno się to zakończyć. Logika była po naszej stronie. Chronologia też. A jednak nie zakończyło się. Bo w tej historii nie chodziło wyłącznie o rubryki „ślub–rozwód”. Chodziło o coś, co zawsze umyka metrykom: o język, którym człowiek opisuje drugiego człowieka, gdy próbuje go jednocześnie nazwać i ukryć.

Wróciliśmy do nazwiska Ostrowskiej nie przez to, że ktoś nazwał ją żoną. Tylko dlatego, że gdzieś obok, w materiałach i wspomnieniach, pojawiał się wątek „Odgłosów” — łódzkiej redakcji, trzeciego piętra i kierownika działu reportaży. W tym samym czasie, gdy Ostrowska miała mieć swoje wejścia i swoje ambicje, kierownikiem reportaży był właśnie on.

I wtedy wszystko przestawało wyglądać jak pomyłka, a zaczynało wyglądać jak niedopowiedziana znajomość.

Arletta mówiła szybko, jakby bała się, że sama straci trop:
— W jej książce jest scena z redaktorem. A on ma gabinet, ma władzę nad tekstem, ma oschły głos, skreśla cudze akapity i dopisuje własne. Taki ważniak, ale cholernie wyrazisty. I on ma... swoje trzydzieści pięć lat, te nieprzyzwoicie błękitne oczy i ten ton, jakby całe miasto było jego redakcją.

Słuchałem, a przed oczami miałem inne postacie: mojego ojca w Jerzwałdzie, jego opowieści o Łodzi, o redakcjach, o kobietach z temperamentem i o mężczyznach, którzy myśleli, że piszą świat na nowo długopisem. W takich opowieściach zawsze jest ktoś, kto poprawia cudzy tekst tak, jakby poprawiał cudze życie.

— I myślisz, że to on? — spytała Marta.
— Nie wiem — odparłem. — Ale jeśli to on, to jest to najbardziej łódzka rzecz na świecie: prawda schowana w literaturze i udawanie, że to tylko fikcja.

Zadzwoniłem do Mariusza Szylaka. Kiedy odebrał, mówił krótko, rzeczowo, jak człowiek, który nie chce się dać wciągnąć w cudzą mgłę.
— Znam wątek — przyznał. — Wrócę do niego w drugim wydaniu.
— Jest coś pewnego? — dopytałem.
— Powiem tyle: proszę nie ufać jednemu zdaniu z gazety. Ale też proszę go nie ignorować. I na tym skończył.

Odłożyłem słuchawkę z poczuciem, że trop nie bierze się z niczego. Jeśli nawet cała ta „sensacja” była pomyłką, to pomyłką upartą — taką, która trzyma się faktów jak rzep płaszcza i wraca wciąż w nowych wersjach. A mnie zaczęła interesować nie tylko odpowiedź, ale i to, kto miał powód, by ją ukrywać.

Postanowiliśmy pojechać do Łodzi. Moniuszki 2 — dawna „Honoratka”. Dziś bank: sterylnie jasno, bez zapachu kawy i dymu. Tylko tablica pamiątkowa pilnuje dawnego życia adresu.

Przy sąsiedniej kamienicy, na ławce, siedział starszy mężczyzna w poplamionej marynarce. Kiedy usłyszał, że pytamy o „Honoratkę”, ożywił się natychmiast. — Bywałem. Pamiętam taką Ewę. Ładna, wygadana. Ale czy to ta sama? Nie wiem — machnął ręką. — Plotki lubią się rozrastać.

Marta usiadła przy nim łagodniej niż my, zasypujący go pytaniami.

— A pamięta pan, jak się ubierała? Coś charakterystycznego?

Starzec zmrużył oczy, jakby wracał do zadymionych wnętrz.

— Płaszcz. Ciemny płaszcz z szerokim kołnierzem. I „Sporty” w fifce. — Uśmiechnął się. — I śmiała się tak, że wszyscy się odwracali.

To wspomnienie, choć mgliste, brzmiało prawdziwie. Drobnym fragmentem wskoczył do układanki, ale nie zamknął obrazka. Raczej otworzył nowy.

W napisach filmu listy obsady brak. Reżyser nie żyje, producent w Kanadzie. Pozostały nieformalne tropy: operatorzy, statyści, kelnerzy z pamięcią do twarzy. Jedni nie odbierali, inni mówili krótko:

— Ostrowska? Nie, to pomyłka.

Wreszcie odezwał się dawny znajomy mojego ojca, kiedyś blisko łódzkiej bohemy. W kawiarni przy Piotrkowskiej mówił półgłosem, jakby nawet teraz kawiarnia miała uszy:

— Kiedy Nienacki okrzepł w Jerzwałdzie, pojechał do niej. Gdzieś na Mazury. Bo i ona wyjechała po rozwodzie z Jażdżyńskim w '71.

Podróż w największej tajemnicy. Mówiło się, że to miało coś zakończyć... albo zacząć od nowa.

Wersje krążyły. Nienacki nie lubił długich tras autem — brał szofera albo taksówkę z ławy. Jedni widzieli go w pociągu; inni — z walizką przy samochodzie, bez słowa dokąd. Według jednych spotkał się z Ostrowską na Suwalszczyźnie; według innych nigdy do spotkania nie doszło, zostawił tylko zaklejoną kopertę w recepcji hotelu Hańcza w Suwałkach i wrócił do Jerzwałdu.

Znajomy spojrział uważnie:

— Jeśli chcecie szukać, zacznijcie od mostu w Giżycku.

Następnego dnia byliśmy w drodze. Most obrotowy przerzucił się nad Kanałem Łuczańskim, łącząc Niegocin z Kisajnem. Przeszliśmy na drugą stronę, potem w dół, na brzeg. Starszy mężczyzna przy łodzi powiedział, że widział tu kiedyś pisarza z Jerzwałdu, czekającego na kobietę. Sprzedawczyni w sklepie miała inną wersję — że razem poszli w stronę jeziora. Kierowca taksówki twierdził, że odwiózł ich do Wierzb, koło Orzysza.

Wierzbiny brzmiały jak nazwa z tych historii, które udają przypadek, a potem wracają — zbyt często, by wciąż wierzyć w zbieg okoliczności. A Mazury, zamiast rozwiać mgłę, tylko ją zagęściły.

Marta robiła zdjęcia mostu i tafli. Potem odwróciła aparat w naszą stronę.

— Może to jedyny ślad, jaki zostanie — powiedziała. — Zdjęcia, notatki, domysły. Reszta wymknie się spod kontroli.

Wieczorem siedzieliśmy przy starym moście kolejowym. Nad wodą unosiła się mgła, ciężka i powolna, jak oddech jeziora.

— Cokolwiek się tu wydarzyło, zostawiło ślad — rzekła Arletta. — Może to był koniec ich historii, a może początek.

Nie odpowiedziałem. W mroku po drugiej stronie zobaczyłem sylwetkę mężczyzny w płaszczu. Stał nieruchomo. Czekał. Jakby całe życie było tylko oczekiwaniem na kobietę, która nigdy nie przyszła. Kiedy mrugnąłem, już go nie było.

Niektóre historie są jak fotografie naświetlone dwa razy — na jednym obrazie nakładają się różne czasy i miejsca. Łódź z jej kawiarniami i redakcjami, Jerzwałd z ciszą po koncercie, Giżycko z mostem, który obraca się, jakby sam nie wiedział, którą stronę wybrać. A my, przysłonięci półcieniem, próbujemy odczytać, która twarz należy do kogo. I komu powinniśmy oddać głos, zanim mgła znów zasłoni kadr.